Rozmaitości

DNIA 25. PAŹDZIERNIKA N^er 43. 1834 ROKU.

JACQUES BALMAT,

MONT-BLANC ZWANY.

(Wyjątek z przypomnień podróży na górę St. Bernharda, przez Alexandra Dumas, w *Revue de deux mondes* umieszczony.)

(Dokończenie.)

»Gdyśmy już do tego skalistego wzgórza wyszli, które jest Małym Mułem zwane, nadleciał z przeraźliwym szumem wiatr szalony, który, świsnąwszy nam w uszy, zerwał doktorowi kapelusz z głowy. Byłato piękna zabawka: doktor krzyknął i zaklął, na czém świat stoi; spojrzałem spieszno za siebie i widziałem, jak doktora czarna sierść zajęcza, w powietrzu młynkując, ku stronie lodowca *Cormayeur* żeglowała! — Doktor stał jak słup, z rozprzestrzonémi ramionami! i patrzał za nim, jakby go chciał złowić. »Jużto nic nie pomoże,« rzekłem do niego, »włóż wćpan na wieczne czasy po nim żałobę; już my go w tém życiu oglądać nie będziem; jedzie sobie prosto do Piemontu! życzę mu szczęśliwej podróży!« Lecz na tém nie koniec; zdawało się, iż wiatr chciał sobie żarty z nami stroić; bo ledwiem, do doktora mówiąc, usta zamknął, już z taką gwałtownością na nas dmuchnął, żeśmy, nie chcąc w dół za kapeluszem polecieć, obadwa plackiem na brzuchy paść musieli. A że wiatr z podwójną siłą do nas swój szturm przypuszczał i nas przemocą z sobą porwać zamyślał, doktor z przestrachu uchwycił się obiema rękoma skały, i przycisnął ją serdecznie do piersi. Dziesięć minut trwało, nim nam podnieść się przyszło; jak gdyby biczem chłostał wiatr górę, wściekle i bez miłosierdzia, a gwiżdżąc nam nieustannie nad głowami, gonił przed sobą kłęby śniegu, nito największe domy, które, o skały uderzając, w oddzielne z szumem rozbijały się tumany. Już po doktorze! utracił ostatnią iskierkę odwagi. Był na w pół umarły. Co do mnie, tém tylko zaprzątałem myśli moje, że właśnie o téjże samej godzinie nasza kramarka ku szczytowi *du Gouter* patrzyć się musi! Skoro tylko cokolwiek wicher swój zapęd złamał i, już się mniej srożąc, ustawać zaczął; ruszyłem z kopyta. Ale mój doktor! mój doktor ledwie na czterech, to jest: ledwie capkiem za mną iść zdołał. W ten sposob przecież wleźliśmy na spiczasty wierzchołek, z któregośmy wieś widzieć mogli. Tam raz stanąwszy, odetchnąłem na chwilę i dobyłem spiesznie mojéj perspektywy, przez którą na dwanaście tysięcy stóp w głębokości pod nami w dolinie naszę kmotrę kramarkę, pośród kupy otaczających ją osób, rozeznać mógłem. Widziałem wyraźnie, jak sobie z rąk do rąk perspektywę wyrywali, aby nas na ostrym kołku stojących oglądać mogli. Bodajto, powiadam wćpanu, wrodzona zaszczytu żądza! ona to połechtała serce doktora; podniósł się, podniósł na człowieka i stanął prosto, jak tyka! W téjże chwili ujrzano i poznano nas obudwuch; jego, po długim surducie, mnie zaś, po mojéj zwyczajnéj odzieży. Zaczęli dawać nam znaki wywijaniem kapeluszów; ja odpowiadałem im wzajem kapeluszem moim, bo kapelusz doktora, jak wiadomo, był na urlopie.

Byłoto ostatnie wysilenie się doktora, że się tą razą na nogi podniósł; już odtąd ani zachęcenie, któreśmy z dołu znakami odbierali, ani moja namowa żadnego na nim nie czyniły wrażenia; nie chciał się i z miéjsca ruszyć. Gdy mi nakoniec, do pobudzenia go,

)(

aby iść daléj, i słów nie wystarczyło, byłem zmuszony zostawić go samego, zwłaszcza, że i tak już wiele nadaremnie czasu straciłem. Napomniałem go, aby nie stał na jedném miéjscu, i aby się nieustającym ruchem, ile można, rozgrzéwał; słuchał mnie, ale nie rozumiał, i tylko, chcąc mnie się pozbyć, te słowa: »Dobrze, dobrze!« przez usta cedził. Będąc sam od zimna strętwiały, mógłem wnosić, ile ciérpiał. Dawszy mu tedy mój bukłak, zabrałem się sam jeden puścić się pod niebo, mówiąc mu, aby mnie w tém miéjscu czekał i że przyjdę po niego. Odrzekł mi: »Dobrze, dobrze.« A ja, jeszcze mu raz powtórzywszy, aby się strzegł spoczynku, i zawsze w ciągłym ruchu zostawał, poszedłem daléj. Ledwiem trzydzieści kroków uszedł wyżéj, obejrzałem się za siebie, a już go plecami do wiatru siedzącego, we dwoje skulonego ujrzałem. Od téj chwili nie miałem już wielkich trudności; ale im wyżéj szedłem, tém ciężéj, i ciężéj oddychałem. Powietrze do tego stopnia się rozrzedziło, żem za każdym dziesiątym krokiem stanąć, i jakby dychawiczny sapiąc, odpoczywać musiał; nareszcie zdało mi się, żem już całkiem płuc nié miał; moje piersi były próżną jamą! czułem zawrót głowy. Dobyłem chustki i, złożywszy ją we troje, przewiązałem sobie usta, i w ten sposób oddychając, sprawiłem sobie przecięż jakąkolwiek ulgę. Ale tymczasem zacząłem coraz bardziéj od zimna kościéć, i potrzebowałem całéj godziny, abym małą ćwierć godziny uszedł: chociaż, jak mógłem, dodawałem sobie odwagi; przecież to mało się na co zdało; szedłem bardzo pomału, z wielką trudnością i z obwisłą w dół głową. Gdy się tak wlókłem, uczułem zarazem, żem na jakiémeś płaskiém stanął miéjscu; zadrzałem z przeczucia; podnoszę ciekawie w górę głowę i widzę, że się już na samym szczycie góry *Mont-Blanc* znajduję! Ktoż opowié radość moję?!«

»Puściłem oczy, jak tylko mógłem széroko w około siebie, i drżałem z obawy, czyto nie złuda, lub przywidzenie; patrzyłem z trwogą i bijącém sercem, czyliteż gdzie jeszcze jaki wierzchołek, jaka skalista igła, nade mną nie wyrasta; bo już iść daléj na siłach mi zbywało, i tak byłem do upadłego zmęczony, że mi się zdawało, iż kości nóg moich tylko jeszcze spodniami mojémi kupy się trzymały. Ale nie, nie! Nie byłato złuda; nie było przywidzenie; byłato rzeczywistość sama; cel mojéj wyprawy został osiągniony! Stanąłem na miéjscu, na którém żaden jeszcze człowiek nie stanął, którego dzika koza nie dobiegła, sam nawet orzeł nie doleciał!... Stanąłem tam bez wszelkiéj innéj pomocy, tylko siłą mojéj chęci, potęgą woli mojéj. Czegożto człowiek nie dokaże! — Wszystko, com tylko w około siebie widział, co mię otaczało, zdawało się do mnie należéć, mnie służyć; byłem królem góry *Mont-Blanc;* byłem posągiem na téj straszliwie ogromnéj podstawie; świat cały u nóg moich leżał!«

»Radość rozeszła się po członkach moich; obróciłem się ku owéj stronie, gdzie Chamouny leży; włożyłem na kij kapelusz i wywijałem nim széroko w powietrzu; za pomocą mojéj perspektywy widziałem wyraźnie, że mi na moje znaki odpowiadano. Moi poddani na dolinie ujrzeli mię. Cała wieś zbiegła się, patrzała na moje w niebo wstąpienie! Skoro piérwsza chwila mojego rozkosznego zachwycenia przeminęła, przyszedł mi zaraz na pamięć i biédny mój doktor. Pobiegłem, jak mógłem, spiesznie ku niemu na dół, wołałem go po imieniu, i mocnom się przestraszył, gdym go odpowiadającego nie słyszał. W dobry dopiéro kwadrans spostrzegłem go z daleka; leżał w kłębek zwinięty, ale, chociaż moje wołanie pewnie uszu jego doszło, ani się ruszył. Zastałem go w smutnym stanie, głowę miał między nogami i tak się ciasno w trąbkę zwinął, że go łatwo za spiącego kota miéć mógłem. »Ocknij się doktorze!« zawołałem na niego, i wstrząłem nim z całéj siły. »Ocknij się mówię i słuchaj: Ja byłem na szczycie *Mont-Blanc*!« krzyczałem mu w ucho; ale to go mało troskało; otworzył oczy, i pytał się tylko, gdzieby mógł spać spokojnie. »Przyszedłeś tutaj,« rzekłem do niego, »wejść na szczyt góry *Mont Blanc*, i musisz być na nim; choćby mi cię tam na moich rękach zanieść przyszło.« To mówiąc, wziąłem go pod ramiona, i wlókłem z sobą kroków kilka ku szczytowi; był zupełnie bez zmysłów, i mało dbał oto, czy go w górę, czy w dół ciągnąłem. Jednakże poruszenie, do któregom go zmusił, rozgrzało w nim krew

cokolwiek; opamiętał się i zapytał: czylibym przypadkiem nié miał drugiéj pary takich rękawic w kieszeni, jakie miałem na rękach; byłyto rękawice o jednym paluchu, z siérści zajęczej, umyślnie do mojej podróży zrobione. W tém położeniu, w którém sam się znajdowałem, byłbym nawet memu rodzonemu bratu razem dwóch nie dał; dałem mu tedy tylko jednę. O godzinie szóstéj byliśmy z ciężką biédą obadwa na wierzchołku *Mont-Blanc*; a chociaż słońce w całym swoim blasku w około złotémi promieniami ciskało; niebo tak mocno było ciemnoniebieskie, żeśmy na niém kilka gwiazd widzieli. Oko pływało po niezmierzonym powietrza oceanie. Gdyśmy naszym wzrokiem w dół potoczyli, widzieliśmy same tylko lody, śniegi i niezliczonych gór kolce. Ten roztoczysty, okiem niezmierzony łańcuch gór, który przez Delfinat się rozciąga i aż głęboko w Tyrol się wciska, rozwinął przed oczyma naszémi swoich czterysta iglastych lodowców, migotném światłem bijących! Stały jakby wieczne ostro-słupy z dyjamentu; jeden po drugim kolejno, w niebo wspierając swe głowy promieniste! Zieloność zdała nam się ledwie tylko jedno małe miéjsce zajmować na ziemi. Jeziora Genewy i Newszatelu były tylko ledwie dojrzane dwa niebieskie punkty. Na naszéj lewéj leżała Szwajcaryja, całkiem ukiędzierzawiona wierzchołkami gór kolczystych, a po za nią, w oddaleniu, jakby bogaty, przepysznie zielony kobierzec roztaczały się jéj łąki. Po naszéj prawéj rozwijały się Piemont i Lombardyja, aż do Genui; a wprost, na przeciw nas, roztaczały się rozkoszne Włochy. Paccard nic nie widział; powiedziałem mu, co było do widzenia. Co się mnie tycze, nie czułem już ani boleści, ani wysilenia; a nawet wolniéj oddychać mogłem, chociaż przed godziną jeszcze, dla braku oddechu, byłem blizki zaniechania przedsięwzięcia mego. Zapatrzeni w to niewysłowione ogromne malowidło; w te na około nas roztoczone cuda i dziwy przyrody, staliśmy tam, jak na sądzie bożym, z największą uroczystością i pokorą serca przez całe trzydzieści minut. Oh! co za widok! jakie uczucie! jakie przekonanie człowieczéj małości!... Była siódma; mieliśmy jeszcze pół trzeciéj godziny dnia przed sobą; musieliśmy się spieszyć. Wziąłem Paccarda pod ramiona i dla dania owym w dolinie ostatniego znaku, wywinąłem jeszcze po trzykroć kapeluszem, i zaczęliśmy się w dół spuszczać. Szliśmy z wolna, i z wielką ostrożnością. Wiatr przeszywał zimny; śnieg nie tajał; musieliśmy się kierować po lodzie śladem owych dziur, któreśmy wprzódy, idąc na górę, grotami naszych kijów góralskich porobili. Paccard był dziecięciem bez siły i woli, które ja na dobréj drodze prowadzić, a na złej nieść musiałem; co nie zawsze łatwo było, zwłaszcza na ślizgawicach! Gdy nam po nad przepaść przechodzić przyszło, zaczęła noc zapadać, a poniżéj wielkiego odgórza już na nas całkiem siadła. Paccard stawał każdéj chwili, a nareszcie oświadczył, że ani krokiem daléj nie pójdzie; musiałem go iść daléj raz po razu zmuszać, nie napomnieniem, bo nato mało zważał, ale przemocą. O jedénastéj wyszliśmy przecież szczęśliwie z okolicy lodów, i stanęliśmy na bezpiecznym gruncie; weszliśmy na ziemię. Już więcéj godziny wszelkie światło słońca z ócz nam zniknęło. Tutaj dopiéro stanąłem na nocleg. Oglądnąłem Paccarda; a widząc, że już nie włada rękami, zapytałem go: czy rąk swoich nie odmroził? Odrzekł mi, że tego nie wié, ale się domyśla, bo ich wcale nie czuje. Gdym ściągnął mu rękawicę, ręce jego były bez życia, martwe, jak trup blade; ale i ja miałem jednę rękę, na którą Paccarda rękawiczkę wdziałem, w tymże samym stanie. »Otóż patrz, doktorze!« rzekłem do niego, »nas tylko dwóch, a mamy trzy rąk odmrożonych;« ale to wszystko było mu całkiem obojętne; nic, jak tylko spać i spać żądał. Prosił mię, abym mu część odmrozoną śniegiem natarł; nie było mi oto trudno, miałem lekarstwo zaraz pod ręką. Wziąłem się do operacyi; zacząłem od niego, a skończyłem na sobie. Krew powróciła niebawem, a z nią i ciepło; ale i boleść razem, która tysiącem ostrych szpilek nakłuwała każdą żyłkę. Zawinąłem w kołdrę moję lalkę, położyłem ją pod sklepienie skały; zjedliśmy po kawałku chleba i napili się syropu z wodą, i spaliśmy ciasno, jeden przy drugim, jak tylko to najlepiej być mogło. — O szóstéj z rana przebudził mię Paccard: »Rzecz dziwna,« rzekł do mnie,

)(2

»słyszę spiewanie ptaków, a nie widzę dziennego światła; nie mogę zapewnie otworzyć oczów.« A właśnie wtedy, gdy to do mnie mówił, wytrzyszczył na mnie oczy, jakby wielki książę! Odrzekłem, że się myli i zapewnie bardzo dobrze widzi. Żądał ode mnie trochę śniegu, wziął go w garść, rozpuścił wódką i potarł sobie nim oczy; i ozdrowił się prawdziwie po doktorsku; bo daleko mniéj, aniżeli wprzódy widział, i większego jeszcze dostał ócz zapalenia... »Tedy ja w istocie oślepłem, Balmat?« rzekł do mnie. —»Coś na to wygląda,« była moja odpowiedź. —»Jakże teraz na dół zejdę?« pytał mnie. — »Weź wćpan ten rzemień w rękę, ten; ten od mojéj torby, trzymaj go się mocno, i tak idź za mną zwolna. To jedyny środek.« Usłuchał mojéj rady i tym sposobem zeszliśmy do wsi *La Côte*. Gdym się obawiał, że moja żona była o mnie zbyt niespokojna, opuściłem tutaj doktora, który się o kiju, jak mógł nieborak do swego potoczył mieszkania. Dopiéro do domu przyszedłszy, obaczyłem, jak ja wyglądałem; ażem się przestraszył; sam siebie nie poznałem; miałem oczy jak ogień czerwone; twarz czarną; usta granatowe; skorom się uśmiechnął, albo ziewnął, krew mi z ust i z policzków strumieniem tryskała; a widzieć, widzieć tylko w cieniu mogłem.«

»W cztéry dni potém, chcąc uwiadomić pana Saussure, że mi się na *Mont-Blanc* szczęśliwie wejść udało, poszedłem do Genewy; ale już się on o tém był od Anglików dowiedział. Przybył natychmiast do Chamouny; chciał ze mną wejść na *Mont Blanc*; ale pogoda nie służyła, i ledwieśmy tylko na górę *La Côte* wejść zdołali; dopiéro w następującym roku dokonał wielkiego przedsięwzięcia swego.«

»A jakże było z doktorem Paccard, czy na zawsze wzrok stracił?« zapytałem.

»Ej, zkąd znowu! dopiéro temu będzie jédenaście miesięcy, jak umarł, a jeszcze w 79m roku życia swego bez okularów czytał. Tylko miał diabelsko czerwone oczy.«

»To zapewnie skutek waszéj podróży?« — »O, wcale nie.« — »A czegoż?« — »Byłoto poczciwe, zacne doktorzysko; ale lubił często i głęboko w szklankę zaglądać.«. To mówiąc, wypróżnił Balmat trzecią flaszę wina.

POETKI CHIŃSKIE.

Do spisu dosyć już długiego owych niewiast, którym niebo udzieliło daru poezyi, chcemy dodać jeszcze kilka poetek chińskich, o których wiadomość powzięliśmy ze zbioru poezyj dam państwa chińskiego, udzielonego przez pewnego Francuza. Nie potrzebujemy robić uwagi, że poezyje te bynajmniéj nie wyszczególniają się ani obfitością myśli, ani jędrnością wyrażeń; albowiem niewiasta chińska, we własnych poniżona oczach, zaledwo śmié odezwać się z tém, co czuje. Jestto istota niewolnicza, która nie może się innym sposobem wysłowić, tylko musi, jak Ezop, przedstawiać uczucia swoje w podobieństwach, lub w miłych i delikatnych formach. Z pomiędzy stu kobiét chińskich, których poezyje umieszczono w tym zbiorze, albowiem na tytule dzieła napisano, że zbiór ten zawiéra płody stu dam, nié ma ani jednéj, którąby przekroczyła zamierzoną metę. Żadnéj usta nie wyrzekły niemiłego wyrazu, żadzéj pióro nie napisało ostrego słowa, mściwość nie była nigdy bodźcem ich pieśni. Szczérze i delikatnie wyznają z otwartością miłość swoję; kochające i kochane samą tylko rozkoszą oddychają; opuszczone opłakują los swój; zdradzone i pogardzone żałość swoję wylewają w łzach gorzkich. Znajdujemy w tym zbiorze same tylko poezyje w stylu anakreontycznym; na téj np: stronicy czytamy hymn do miłości, obróćmy kartkę, a znajdziemy znowu cztérowiérszowy poemat, epigramma, którego treść jest także miłość; w następnéj zaś elegii maluje autorka znowu cierpienia miłości. Wszystkie te poezyje są po większéj części ze smakiem i delikatnością pisane, obrazy są żywe, metafory świetne. Lecz mimo tego świéżego kolorytu wszystkie te płody mają coś płaczliwego, co jest główną ich cechą nawet w wesołych pieśniach, a co zaiste nieraz dziwnie odbija od treści poematu, żeby można powiedzieć, iż damy chińskie mają ciągłe jakieś przeczucie nieszczęścia, i że nie śmią z zupełną swobodą radości się oddawać. Czy to pochodzi ze stanowiska, jakie w towarzystwie zajmują, czy z wpływu klimatu, obyczajów kraju, albo z wychowania kobiet chińskich, nie jest tu miéjsce roztrząsania tego, a to tym bardziéj, że następne ułamki lepiéj

od najdłuższego komentarza będą w stanie zapoznać nas dokładnie z duchem i charakterem poetek chińskich.

Tszu-szen-szyng jest pierwsza poetka, którą napotykamy. Przypisują jéj wiele znacznych dzieł, między innémi zbiór drobnych poezyj, pod tytułem: »Cierpienia serca« Poetka ta, będąc młodą, tkliwą, namiętną, doznała wszelkich cierpień, na jakie tylko istota płci niewieściéj wystawiona być może; jak Saffo, nie będąc kochana, została zdradzoną i opuszczoną. Z rozdartém sercem i z oczyma zalanémi łzami opiéwała nieszczęście swoje. Jedna z jéj najsławniéjszych elegij jest napisana na Święto Latarni, i z téj umieszczamy tu tylko dwie wrotki:

»Przed rokiem, dobrze o tém pamiętam, byłoto dnia tego samego, na niebie świecił księżyc, a lampy błyszczały na ziemi; noc była chłodna i czysta, i niewinne serce moje nie wiedziało jeszcze o miłości.«

»Jak wtedy, i dzisiaj błyszczą lampy, księżyc widnokrąg oświeca, a z oczu moich łzy płyną niestety! Nieszczęśliwa jestem dzisiaj, że kocham, a nikt zapałów moich nie podziela!«

Kae-yen była jedną z niewiast haremu cesarza Yen-tsung. Często, podobnie do towarzyszek swoich, pisywała wiérsze na liściach i powierzała wiatrom tajemnicę serca swojego. Pewnego dnia zatrudniona była w przepysznych salach swojego więzienia szyciem sukień dla pilnujących granic żołniérzy, i w kieszeń jednéj sukni włożyła następujące wrotki:

»O ty! którego kocham, nie znając cię, jeżli kiedy podczas zimnej nocy będziesz czuwał, zwycięzkiemi rękoma swojémi o broń oparty, to pomyśl o tém, że pewna niewiasta szyła ci tę suknią.«

»O jakże słodką jest ta praca! O jakże lekko idzie mi z pod ręki! jakże chętnie chciałabym jéj także inne chwile poświęcić! Pojrzyj na materyją, na szycie i ściegi, i wiedz o tem, że to miłość tak je wykonała.«

»Lecz ktoż mi powie, azali dzielisz ty miłość, którą ja nieznajoma istota czuję ku tobie? Kto mi powie, czyli już nie uczyniłeś wyboru? Jeżliby tak było, tobym umarła, gdyż serce moje pragnie mocno być kochaném.«

Żołniérz, któremu w podział dostały się suknie, zrobione przez młodą Kae-yen, pokazał te wiérsze swojemu oficérowi. Awanturka ta latała z ust do ust, i dostała się nakoniec do uszu cesarza, który kazał zrobić w haremie najsurowsze śledztwo. Odkryto autorkę i skazano na śmierć. W chwili jednak, gdy wyrok śmierci miał być na niéj spełniony, ulitował się cesarz nad nieszczęśliwą Kae-yen, darował jéj życie i wydał za mąż za żołniérza, którego szczęście owo spotkało. »Oto masz tego,« rzekł z uśmiechem do dziewicy, »któregoś sobie życzyła; nie chcę, ażeby mówiono o tobie, żeś się w nadziejach swoich zawiedła.«

Szyn-sze nie była jeszcze zamężna, a już wiatrom powierzała swoje poezyjne uniesienia. Hu-ke-tu, uczony mandaryn, widział raz leżący przed sobą zgrabnémi literami zapisany liść bambusowy; złapał go i wyczytał następujące wrotki:

»Przybądź, przyjacielu, i osusz łzy, z ócz moich płynące; uszczęśliw mię swoją pociechą! Opuść złociste pałace i przybądź do mnie, ażebym wiedziała, co może miłość nad tobą.«

»Nie papiérowi powierzam cierpienia moje, nie na kamienin je ryję, ale pożyczam sobie od jesieni liści, gęsto z drzew spadających, a potém poruczam je lekkiemu powiewowi Zefira.«

»Zefirze! łagodnem tchnieniem twojem powiej ten lekki listek ku temu, do którego wzdycham; oby go odczytał, mnie pokochał, i oby miłość jego wyrwała mię z objęcia śmierci.«

»Lecz ach! cóż ja to mówię? nie będzież on głuchy na głos mój? może nie zechce uledz potędze miłości? O! jakżem była nieprzezorna! może ów, co znajdzie liść ten drogi, nigdy nie pozna się ze mną.«

Młody Hu-ke-tu był więc, jak się wyżéj rzekło, tym szczęśliwym śmiertelnikiem, który znalazł skarb ten, i jak rzecz najdroższą przechował; tak często odczytywał napisane na liściu wrotki, że się ich w końcu na pamięć nauczył. Czas łączenia się ślubem małżeńskim zbliżył się nareszcie i mandaryn, szczęśliwym wiedziony trafem, obrał właśnie Szynszę za małżonkę. Mimo starań wszelkich nie mógł dowiedzieć się dotąd o autorce onych wiérszy. Gdy więc razu jednego, według swego zwyczaju, deklamował je przed małżonką, przerwała mu ta témi słowy: »Czekaj, czekaj, ja jestem autorką,« i uzupełniła niedokończony poemat. Poezyje Szyn-szei są przyjemne, budowa wiérsza lekka i potoczysta. Nie znajdzie u niéj tego przepełnienia metafor i przesadzonych wyrażeń, jakie tak często przypadają w poezyjach wschodnich, a które tak właściwe są utworom jéj współ-

zapaśniczek poezyjnych. Poezyje téj damy są bardzo w Chinach cenione i umieszczono je wszystkie w dziele: *Pih-mei-sze-yung* (księga stu niewiast).

Su-huy była małżonką oficéra, imieniem Tu tau, wygnanego z kraju za polityczne przewiny. Tu-tau uciekł w pustynią Szamo, gdzie żył trzy lata. Tymczasem jego małżonka Su-huy starała się u cesarza o odwołanie swojego męża, ale nadaremnie. Pozostał jéj tylko jeden jeszcze środek: wiedząc o upodobaniu cesarza w wyrobach jedwabnych, utkała własnémi rękoma kawał materyi, na któréj kolorowym jedwabiem więcéj jak dwieście liter wyszyła. Cesarz, któremu wręczyła tę materyją, był tak ujęty tą jéj atencyją, że przyjął dar i małżonka odwołał.

Su-huy nie zostawiła innych poezyj, okrom tych, które mężowi swojemu na wygnanie posyłała. Listy te są wzorem ujmującéj i rozrzewniającéj szczéroty. Są to najczulsze wylania duszy kochanki do oddalonego kochanka, słowa pociechy troskliwéj przyjaciółki.

»Ach kochanku! jakże płynęły łzy moje, gdy na wygnanie szedłeś! Myślami towarzyszyłam krokom twoim, z tobą przebywałam błękitne góry, z tobą przepływałam rzeki i z tobą deptałam nogami mojemi piasek puszczy.«

»Bezwładna, walcząca z śmiercią, chciałam krzyczéć, gdy oddalałeś się ode mnie, ale słowa umierały na moich ustach; nie mógłeś słyszéć, gdym rzekła: Nie zapominaj o mnie, kochanku, ach! nie zapominaj o mnie!«

»Ach! jakże wiele czasu upłynęło, odkąd oddaliłeś się, a ja nie wiem, czy żyjesz! Łoże, świadek miłości naszéj, stoi zimne i zlodowaciałe. Samotne i opuszczone są kioski i terasy, które budowałeś, a w salach, w których spoczywałeś, proch leży.«

»Odkąd oddaliłeś się ode mnie, opuściła mię wszelka nadzieja, i bez ciebie wszystko jest dla mnie smętne i puste. Ach! kochanku, kiedyż cię ujrzę? Chciałabym być obłokiem, okrywającym szczyt góry, lub owym bladym promieniem księżyca, który się w morzu przegląda.«

»Bo obłok cień rzuca nad tobą, a księżyc oświeca kroki twoje z wysokości błękitnego tronu swojego. Tylu tak tobie obojętnym rzeczom pozwolono jest być około ciebie, a ja, co cię tak tkliwie kocham, muszę im szczęścia tego zazdrościć.«

»O! gdyby przynajmniéj za owémi pustémi skałami było serce, podzielające nieszczęście twoje, gdyby łagodna ręka jaka rozweselała ci drogę życia! Lecz ach! próżne żądania, które nie będą wysłuchane i jak sen znikną.«

»Trawą porosły twoje ogrody, a ja wzdycham w samotności. Twój pałac pusty, twoja lutnia wisi na ścianie; doliny nie brzmią więcéj harmonijnémi tonami głosu twojego, wszędzie posępne panuje milczenie. Ach! kiedyż obecność twoja nowe rozleje życie.«

»Góry, których wierzchołki w obłoki sięgają, rzeki, których nurty spokojnie płyną, te rozdzielają nasze wierne serca; a ja we dnie o pień drzewa oparta myślę o tobie i płaczę, a w nocy, na zimne rzucona łoże, znowu myślę o tobie i łzy moje płyną!«

»Po trzeci raz widzę powracającą wiosnę, która ptaki powołuje z wygnania, a ty nie wracasz! Serce moje ulega boleści; muszę przestać pisać, bo łzy zrosiły papiér, któremu troski moje powierzam.«

»Pomniéj o mojéj miłości; ta, która cię zawsze kochała, kocha cię jeszcze, gdyż tylko żyje dla ciebie. Może jednak niebo, znużone nieszczęściem naszem, rozmiękczy serce cesarza i powróci ciebie w moje objęcie!«

Mei-Fe była faworytą cesarza Ming-tang. Łagodność i delikatność umysłu cechują jéj poezyje. Mei-Fe nie była zawsze tak szczęśliwą, ażeby swojemu panu ciągle podobać się mogła. Została oddaloną. Ming-tang, obaczywszy ją poźniéj, chciał jéj dać dowód względów swoich i darował jéj naszyjnik z pereł; Mei-Fe nie przyjęła daru i témi wiérszami odpowiedziała cesarzowi:

»Nie widziszli mojego żalu, nie widzisz, że jestem bez pocieszenia? Ty, który wiesz o tém, że niczego nie żądam, tylko miłości twojéj, dla czegoż miasto jéj dajesz mi perły?«

Jeźli, jak Chińczykowie powiadają, ma to być epigramma, to trzeba przyznać, że ich muza bardzo jeszcze skromna.

Imię Fung-seang-liny przypomina wielkie nieszczęście. Pani ta była królową i kochaną od cesarza; atoli przy zdobyciu państwa chińskiego przez Tatarów musiała z tronu do więzienia zstąpić. Fut, jeden ze zdobywców Chin, wziął ją w niewolą, gdzie ożywiała samotność więzienia muzyką i poezyją. Gdy razu jednego, w obecności swojego pana, grała na *pepie* (lutni chińskiéj), urwała się struna i poetka, korzystając z téj okoliczności, improwizowała wiersz następujący:

»Śpiewałam, o! wielki królu! a jednak byłam smutna, bom myślała o ukochanym małżonku. Chceszli poznać stan serca mojego, to spojrzyj tylko na pękniętą strunę méj lutni.«

U Chińczyków jestto znowu epigramma. Cóżkolwiek bądź, cesarz Fut rozczulił się cierpieniami biednej Fung-seang-finy i wrócił ją małżonkowi. — Umieszczone tu wyjątki będą zapewne dostateczne, by dać poznać osnowę dzieła, z którego czerpane były.

— Ze Lwowa. —

Część druga Wallensztajna, poematu dramatycznego Fryderyka Szyllera, przekładania J. N. Kamińskiego, pod tytułem: DWAJ PIKKOLOMINIOWIE, opuściła już prassę w drukarni Piotra Pillera.

Dowiadujemy się, że opera, którą pan Baszny pisze, ma tytuł: *Der galische Kerker*. Rzecz jest pana Arnolda, a osnowa wyjęta ze znanego romansu historycznego Alex. Bronikowskiego téjże nazwy, opisującego uwięzienie Jana Kazimiérza we Francyi. — Licytacyja na wydzierżawienie król. miej. teatru tutejszego, wraz z gmachem redutowym, odłożoną została na d. 15. grudnia r. b.

Redaktor tutejszego pisma niemieckiego *Mnemozyne* umieścił w Nr. 79. pisma swego następujący artykuł, który tu z upodobaniem powtarzamy, ileże ma na celu użytek powszechny: »We wszystkich księgarniach lwowskich jest do nabycia za cenę 48 kr. mon. kon. dziełko: *Der lebende Weissdorn-Zaun von Schenk* (Płot żywy z białego głogu przez Schenka). Ta jasno i do pojęcia napisana książeczka, opatrzona potrzebnemi rycinami, zawiéra gruntowną naukę o zakładaniu i pielęgnowaniu tego pysznego płota, który nie dosyć zachwalić możemy, z powodu piękności, użyteczności i trwałości jego. Nie trzeba sobie tu wyobrażać zwyczajnéj głogów zarośli, które wszędzie znajdują się i tak dobrze, jak żadnej nie dają ochrony; lecz jestto zielona, nieprzebita, 5 stóp wysoka ściana szpalerowa, niezmiernie zajmująca oko (szczególnie w czasie kwitnienia i teraz, kiedy czerwone jagódki dojrzały), a dobytek od bydła i złośliwych ludzi chroniąca. Ażeby przekonać się o tém, co teraz nie dosyć zachwalać i do czego nie dosyć zachęcać mogę, pojechałem sam do Drohobyczy oglądać ten płot wzorowy mojego zacnego, czynnego i o dobro powszechne nader troskliwego przyjaciela — lecz jakże byłem zdziwiony, gdy największe oczekiwania moje jeszcze przewyższone zostały. Widziałem w podróżach moich wiele żywych płotów, odpowiadających i nieodpowiadających zamiarowi; jednak śmiało twierdzić mogę, że takiego płota, jak jest pana Schenka, nigdzie nie znalazłem. Życzę przeto z całego serca, ażeby poznano się wreszcie na dobrém, i ażeby, jak tylko można najprędzéj, rozpoczęto w kraju całym zakładanie płotów z białego głogu. Z książeczką w ręko łatwo każdy cel zamierzony osiągnie, tylko raźnie bierzmy się do dzieła i nie wahajmy się, ażeby cudzoziemiec, kraj nasz zwiédzający, ujrzał jak najprędzéj ogrody budynki gospodarskie, cmentarze i plebanie opasane témi pysznemi ścianami z głogu, a przezco ażeby kraj cały do jednego dużego i pięknego ogrodu stał się podobnym.«

Z Przemyśla. Zeszyt trzeci pisma teologicznego: »Przyjaciel chrześcijańskiéj prawdy« zawiéra następujące artykuły: 1) Nauka o Trójcy S. 2) O rozwodach. 3) O pisaniu suplik gromadom i o zachęcaniu tychże do procesów, co autor karcąc, wystawia przytém inne powinności kapłańskie. 4) Ciąg dalszy spraw Wincentego a Paulo. 5) Literatura. 6) Rozmaitości: *a)* O okrucieństwach i złych nałogach ludów Morza Południowego przed nawróceniem się tychże do wiary. *b)* Stan katolickiego kościoła w Szwecyi. *c)* Kościół katolicki na wyspie Kubie. 7) O powstaniu kapituły przemyskiéj ob. łac., ciąg dalszy. 8) List pasterski ś. p. j. ks. Sailera, biskupa ratyzbońskiego, w przekł. dzie. W końcu znajduje się uwiadomienie, że Czasopismo to i w r. 1835 wychodzić będzie pracą i piórem wezwanych do tego przez ordynaryjat kapłanów. — W spisie dawnych kanoników przemyskich opuszczono w tym zeszycie Stanisława Orzechowskiego, o którego sławie literackiéj tyle napisał Ossoliński w dziele swojém krytycznem, a którego dalsze z pozostałych rękopismów wydawanie tak bardzo jest pożądane. A.

Gazeta Poznańska, umieściwszy piérwéj z naszego pisma wiadomość o botaniku Załuzianskim, dodaje teraz z Weterana Poznańskiego (Nr 3. r. 1825) wyjątek z pisma ś. p. Pawlikowskiego, popierający twierdzenie nasze: że Załuziański (o którym była mowa w Nr. 35. pisma naszego z r. b.) jest Polakiem, nie Czechem. »Wszyscy go nazywają Polakiem,« mówi rzeczony autor, »i sławny Adamson w uczoném swém dziele to samo powtarza. Linde, dopełniając Jurwisana, nie wiedzieć zkąd wygrzebał zaprzeczenie mu rodowitości polskiéj i chce go miéć za Czecha. Bentkowski poszedł za jego zdaniem. Uczeni obcy nie bez zasady nazwali Załuziańskiego Polakiem. Widziałem dwie edycyje dzieła Załuziańskiego w bibliotece król. paryzkiéj. W przemowie do dzieła wyrażono, że był rodowitym Polakiem, że pełnił powołanie lekarza w Krakowie; a, co większa, nazwiska łacińskie niektórych roślin przełożył na język polski, nie zaś na czeski.« Jakto dobrze rzecz jaką potrącić!!

W dziele Konstantego Derville: *Les faste du Royaume de Pologne et de l'Empire de Russie. I. Partie. Contenant l'histoire de Pologne. Paris, a.* 1769, znajduje się wspomniana między polskiémi pisarzami Żydówka polska, Rebekka, córka rabina Miers Tiktiner. Pisarze nasi nie wspominają o niéj, a rzeczone dzieło nie przytacza, co pisała i gdzie wydawała dzieła swoje. Pożądaną byłaby historyja literatury Izraelitów naszych, także dokładniéjsza wiadomość o drukarniach żydowskich w kraju naszym, i o dziełach Żydów polskich, bądź w kraju, bądź za granicą wydanych, a czego ani Czacki, ani Bandtkie nie wyczerpali dokładnie w pismach swoich. Wszakże dawnémi czasy słynęli z nauk Izraelici nasi i powoływani byli na rabinów do piérwszych miast Europy, jakoto do Amsterdamu i innych.

Z Wiednia. W drukarni tutejszych mechitarystów opuściły prasę dwa pisemka Karola Antoniewicza, jedno w polskim języku, pod tytułem: Listki palmowe; drugie w niemieckim, pod nazwą: *Wandertöne am Prutfall bei Dora im karpathischen Gebirge.* To ostatnie przeznaczone jest na korzyść pogorzelców Neusztadu p. Wied.

Pan Nidecki, były członek konserwatoryjum muzycznego w Warszawie, a teraz dyrektor orkiestry na teatrze wiedeńskim w przedmieściu *Leopoldstadt,* napisał muzykę do nowéj opery, pod tytułem: *Der Schwur bei den Elementen, oder das Weib als Mann* (Przysięga na żywioły, czyli kobieta mężczyzną).

Z Warszawy. Nowe dzieło, które tu nie dawno prasę opuściło, ma tytuł: »Sztuka podobania się mężowi, na wzór dzieła Eug. Pradel. Dla mojej przyszłéj;« przez przyjaciela płci pięknéj; ozdobione ryciną. — Do »Zbioru teatru warszawskiego« przybyły trzy nowe sztuki: *a)* Dla czego? komed. w 1 akcie z francuzkiego, przez B. Halperta. Na rycinie JP. Jasiński w roli pana Carpantier. *b)* Dawne grzéchy, komed. op. w 1 akc. z franc. przez St. Kassyanowicza. Na rycinie JP. Jasiński w roli Girarda. *c)* Drugi rok, czyli któż winny? komed. op. w 1 akcie z francuzkiego. Na rycinie JPanna Złotaszewska w roli Karoliny.

Z Wilna. Pisma Wizerunki i roztrząsania naukowe wydano tom drugi, zawiérający: 1) O sztuce dramatycznéj, piérwsza lekcyja A. W. Szlegla, poprzedzona wiadomością o jego życiu. 2) O poecie niemieckim Zacharyjaszu Werner. 3) Rozmaitości. — Pod tą rubryką

wspomniano także, między innemi, o teatrze lwowskim i o piśmie teolog. przemys: »Przyjaciel chrześcij. prawdy.«

Dostrzegacz Austryjacki (Nr. 287. z r. b.) donosi co następuje: »Znany podróżnik węgierski Csomo de Körös wrócił przed rokiem do Kalkuty z obfitym literackim skarbem swoim, by tamże część onegoż wydać, a to po kilkoletnim pobycie w górach Himalajskich i w Tybecie, wyszczególniającym się rzadką pilnością i nadzwyczajném zaparciem się samego siebie. W czasach ostatnich zajmował się drukiem słownika tybetańskiego, którego kilka, lubo nie całkiem zupełnych egzemlarzy, dostało się do Europy. Dzieło to drukowane jest na 351 stronicach i 4*to*, ale niestajc jeszcze przemowy i wstępu. Tytuł jest li po tybetańsku i tak brzmi w słownem tłumaczeniu: »Jezioro słów języka tybetańskiego, zebrane staraniem szanownego nauczyciela Ssang ghia Phoun tsogb z Sang C'haru, pomnożone i uporządkowane przez jego ucznia Körösa Csomę Alexandra.«

Rękawicznikowi Piotrowi Ducros w Medyjolanie, który za przemysł kilka już nagrod otrzymał, udało się odkryć sposób, którym także psie skóry na irchę wyprawiać można, a co w Anglii dawno już wiadome. Sukme z takiej skory mają być niezawodnym środkiem przeciw rewmatyzmowi, i dla tego też wynalazca znaczny ma odbyt. Chwalą szczególnie robione przez niego rękawiczki z delikatności, giętkości i ciągle utrzymywanego ciepła. Na wynalazek ten dostał Ducros wyłączny przywilej.

Ministerstwo skarbu w Petersburgu wydało w dniu 28. sierpnia b. r. radzcy kolegijalnemu Dawydów wyłączny dziesięcio-letni przywilej na wynaleziony przezeń sposób wydobywania z buraków cukrowego soku, za pomocą przemywania, czyli wymaczania krajanych buraków lub miazgi burakowej w wodzie na zimno, tudzież wybielania otrzymanych wprost z soku głów cukrowych przez zwyczajny wyskok, czyli spirytus. (T. P.)

Na grobie Kaspra Hausera znajduje się następujący napis w języku łacińskim: »Tu spoczywa Kasper Hauser, zagadka swojego czasu. Urodzenie jego było niewiadome, a śmierć jest tajemnicą.«

Znanego i od dwóch lat wychodzącego już dzieła w Paryżu: *Le livre de Cent-et-un* wyszedł nie dawno tom 14sty, lecz ten daleko mniej jest chwalony, jak poprzedniecze.

Pobyt Paganiniego w Paryżu przeminął tą razą bardzo obojętnie. Dowcipny autor Julijusz Janin poświęcił nie dawno osobny artykuł wirtuozowi temu w piśmie *Journal des Debats*, i za powód uderzającéj sprzeczności między dawnym zapałem w Paryżu dla artysty, a teraźniejszą oziębłością, to być mieni, że Paganini nie chciał grać ostatnią razą na korzyść zubożałych artystów. Po tém wzywały go dzienniki, ażeby dał koncert na korzyść fabrykantów w St. Etienne, którzy przez powódź stracili mienie swoje. Było to jedyny, ale pewny środek odzyskania względów publiczności. Tu Janin pisze w nowym artykule, że wszystkie prożby i zachęty nie odniosły u Paganiniego żadnego skutku; oświadczył on, że już dawniéj dawał dwa koncerta na ubogich, że chory, i że za tydzień do Włoch odjeżdża. Nie wierzy temu Janin, bo Paganini będzie się lękał, ażeby, powróciwszy do Włoch, nie był zmuszony grać na dochód tych nieszczęśliwych, którzy przy ostatnim wybuchu Wezuwiusza ucierpieli. W końcu autor powstaje ostro na wirtuoza. »Niech jedzie,« woła w zapale patryjotycznym, »niech jedzie, obarczony pogardą publiczną. Oby każdy niósł mu pomoc w drodze, ażeby tak drogiego mu złota swojego pozbawiony nie został. Niech właściciele domów zajezdnych zniżają dla niego zwyczajne ceny; niech na dyliżansach biorą od niego połowę tylko płacy, jak się brać zwykło od dzieci niżéj lat siedmiu; niech pocztylijonowie mają tyle rozwagi, by od niego poczesnego nie żądali; podróż jego niech będzie tak szczęśliwa, jak sobie sam życzy, ale przez drogę niech nikt nie żąda ani widzieć go, ani słyszeć; skrzypce jego, które wtedy tylko wydają tony, gdy złotem napełnione zostaną, niech będą przeklęte i na wieczne milczenie skazane; niech człowiek ten tak bez żadnego odjedzie znaczenia, jak kramarz kwaśnem winem, lub staremi książkami handlujący.«

W Paryżu robiono d. 27. września r. b. doświadczenie z powozem żaglowym, *Eoldenne* zwanym, ale takowe zupełnie się nie powiodło. Liczni widzowie, rozgniewani tém, chcieli powóz na sztuki roztrzaskać, lecz wojsko przeszkodziło temu, i powóz wraz ze znajdującémi się w nim osobami zaprowadzono do szkoły wojskowej, pod zasłoną piechoty i jazdy.

Moda. Nic piękniéjszego nie można widzieć, jak szale z Bombaj w magazynie *St. Anne* w Paryżu, w których talent fabrykanta rywalizuje z talentem rysownika. Są tak delikatne, jak muszlin. Palmy, szlaki i przyozdobienia mają tak piękne, jakich jeszcze nigdy nie widziano. Jestto, rzec można, zbytek żywych i delikatnych kolorów, świetnych i nowych, raz błękitnych, to znowu pąsowych i to w takiéj harmonii, że wszystkie odcienia są wydatne. Tło bywa bądź złotawego koloru, bądź zielone, to znowu modre, lub inne. Bordyrunki są pracowiciéj robione, jak na szalach z Konstantynopola. Doskonałość indyjska przewyższa tu wszystkie podobne wyroby.

Bulwera najnowsze dzieło ma mieć tytuł: *The last days of Pompeji* (Ostatnie dni Pompei).

Pomiędzy najnowszymi poetami portugalskimi wyszczególnia się Antonio Feliciano de Castilho. Dotąd wydał dzieła następujące: *A Primavera. Colleçao de Poematos* (Wiosna. Zbiór drobnych poezyj) Lizbona, 1822. *Cartas de Echo e Narciso* (Listy Echa i Narcyza). Koimbra 1825. *Amor e Melancolia, o la novissima Heloisa* (Miłość i tęsknota, czyli najnowsza Heloiza). Koimbra, 1828. Dzieła jego są sławne nie tylko dla niezaprzęczonego talentu, którym są nacechowane, lecz i z powodu smutnych losów autora. Jest on od urodzenia ślepy, a jednak uczył się prawa, popisy szkolne wybornie odbył, i nawet osiągnął stopień bakalarza prawa w Koimbrze. Gdy wydał »Listy Echa i Narcyza,« otrzymał list bezimienny, w którym znajdowało się tylko następujące lakoniczne zapytanie: »Gdybyś wćpan znalazł Echo, czybyś tak postąpił jak Narcyz?« Jak się późniéj pokazało, list ten był od damy pewnéj i powstała ztąd długa korespondencyja między nią i autorem, która oprócz napisanego zakończyła się także żywym poematem »Miłość i tęsknota,« albowiem dama zachowywała ciągle *incognito*.

Amerykanie z taką sumiennością obchodzą święta uroczyste, że w Nowym-Jorku podczas nabożeństwa kościelnego wszystkie ulice pozamykane są łańcuchami. Kto w Connecticut odbywa podróż w niedzielę, musi stanąć przed policyją, pójść do kościoła, wysłuchać tam napomnienia i zapłacić karę pieniężną. Kto w Filadelfii klnie na rynku, tego policyja zamyka na czas niejaki za kratą.

Były *nizam* Hyderabadu (jedyny za niepodległego od wschodnio-indyjsko-angielskiéj kompanii uznany królik) uformował gwardyję z kobiét swojego haremu. Ten korpus amazonek wyćwiczony jest na sposob wojskowy; składające go niewiasty umieją bardzo dobrze robić bronią i znają się na służbie tak kompanij, jak i plutonowéj. Pewien oficér europejski, który ciekawością zdjęty oglądał tę gwardyję niewieścią, opowiadał następujący zabawny szczegół: uważał z zadziwieniem, że kobieta, będąca doboszem przy téj gwardyi, miała bęben nie z przodu, lecz z tyłu zawieszony i mimo tego wybornie na nim bębniła. Gdy zapytał o przyczynę tego dziwnego zwyczaju, odpowiedziano mu zupełnie serio, że dobosz gwardyi dla tego teraz z tyłu bębni, ponieważ jest właśnie przy nadziei.

REDAKTOR, MIKOŁAJ MICHALEWICZ. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.